



*Autor dziękuje Panu Krzysztofowi Buczyńskiemu
i Zarządowi P.P.U.H. Kombinat Budowlanego
w Białymstoku
za życzliwość i mecenat,
który umożliwił wydanie książki*



brak w tyteli

c. 8,00

JERZY BINKOWSKI

NA DRUGĄ STRONĘ
BIAŁYCH BRZÓZ

FUNDACJA EDUKACJI I TWÓRCZOŚCI
BIAŁYSTOK 2003

Copyright by Jerzy Binkowski

Rysunki: Stanisława Gryncewicz



821.162.11-1
ISBN 83-918485-0-7

Druk: Zakład Poligraficzny OFFSET-PRINT
Białystok, ul. Broniewskiego 14, tel. 651-28-86

Zasypia na jego ramieniu
Bezpieczna i piękna nie wie
Gdzie dusza jest i gdzie zaczyna się ciało

Zwodzi go miłością nieskończoną
Zwabia wizją spaceru wzdłuż kasztanów
W cieniu coraz gorętszym

Pośród niesfornych drgnień trwa walka
Aniołowie rzeźbią w kurzu pustynnego powietrza
Rzekę jak źródło tryskającą

Widzi zarys ust w lustrze
życie i gęstą masę mgły
z której poeta stworzy mrok
trudny do zrozumienia

Będzie szukał krajobrazu
z białych żagli jaśminów konwalii
pocałunku lekkiego jak muśnięcie dłoni
dziewczyny o oczach bursztynu

Ledwo zauważalny strumyk żywej wody
uwielbi źródło i nasączy przeźroczyście
orzeźwi o poranku i pobłogosławi istnienie
wnikające w drzewa i bezchmurną wyobraźnię

Jej delikatny rumieniec wsacza się w skórę
i naga wsuwa się do łóżka muskając sen na szyi

Otwiera skrzydła w orzeźwiającym podmuchu
a wargi rozchylają się jakby chciały powiedzieć

Obudź się

Moje oczy jak delfiny na powierzchni fali

Odgarniała warkocze i strumyki kropel jak firankę
aby spojrzeć na jego ciało miękko wygięte w łuk

Różowymi wargami pełnymi i ciepłymi jak wyspa
szeptała

I wypowiadali słowa pełne baniek
wielobarwnych

Chował się pod występującym z brzegów niebem
tańcząc od stóp do samych bioder

Równoległość ramion piersi i ud stawała się
wzruszeniem wzajemnej dotykalności

Wodospady chroniły od wiatru
dwa brzegi całujące rzekę

Nieśmiało otwierasz okno i czekasz zarumieniona
Patrząc na pełną zielen liści trudno nie zauważyć cierpienia

I tylko myśl zostaje jak refren w kącikach warg
Echo niesione przez noc dzwoni w środku miasta

Wybucham zachłannie jak koncert na wielkich jeziorach
Mój niezgrabny uścisk: niedosyt czasu w zapalonej świecy

Co mam uczynić
z tą morelą leżącą na tacy
obok filiżanki z białym uszkiem
i różą o zielonych płatkach
w porze five o'clock

opowiadam o zburzonych wieżach
nie zapisanych olśnieniach
ociężałości i lekkości jednocześnie
cierpliwie przemykającej przez gąszcz
w szumie zdziczałego od pokrzyw sadu



Na śnieżnobiałym kobiercu za murami parku
Dziewczyna czarnowłosa w zielonym berecie
Wiatr w oczy jej dmuchał i w plecy
Więc od pierwszej chwili na wyciągnięcie ręki

Szyby drżą pojękując w ramach spętane
I wargi jej ciepłe jak bochenki chleba
Z mąki pszennej i żytniej od mamy i taty
Miękną w jego ustach z kryształkami soli

I spijał smak wody ze studni
Intymne zakątki sadu pomiędzy świerkami
W zapachu malin i leśnej poziomki
Gdzie świat westchnął w jednym błysku

Czule natchniony wysupłał z jej płatków
Tę moc wytrwałą idącą przez lata
Pełnią wieczorów i jutrznią poranków
Powtarzanych jak modlitwa gdzieś na końcu świata

Jeszcze raz przywarł ustami do źródła
Otulając ramieniem i światło i noc
I ona w milczeniu tajemnym
Zebrała okruchy podając mu pełen kosz

Mama kompletnie zapomniała o dzisiaj
ale doskonale została we wczoraj
patrzy na film o małej dziewczynce
w białej sukience uśmiechu

„Renia – to dobre dziecko”
słyszy głos ojca od 80 lat
Wojciech czyścił buty dzieciom
przed wyjściem do kościoła w Łopiennie

Ojcowie którzy przygarniają i biorą w ramiona
są jak zatoki dla śpiewających ptaków

A teraz – Mamo –
ruszają nowe pułki aniołów
i wzlecieć możesz we wszystkie strony świata
jesienna łąka przyjmuje westchnienia
przed odlotem do ciepłych krajów

Mamo
Ziemia jest wspaniałym miejscem na miłość

Prawdziwie męski kaprys:
ogier duży jak stodoła
i pociągowe mleczone klacze
ze źrebackami rasy sokólskiej

Mówiłem do Ciebie – Tato –
do obcego człowieka
który pokazał jak się pracuje
na śmierć i życie

Z Tobą powtórzyć chciałbym wszystko:
piaszczyste drogi kurz dudnienie kopyt
wjazd furą na klepisko
zwalanie snopów pachnących rżyskiem

Nie budowałeś murów
pomiędzy sobą i światem
podnosiłeś te owoce
które spadły po Twojej stronie płotu

Basowy pomruk pszczół na łąkach
woń jabłek obok domu w sadzie
kryształowy dźwięk zimy pod saniami
wszystko to trudno zmieścić pomiędzy wierszami

Za wzgórzem świerkowo-brzozowym
jest dom – który domem już nie jest

Przed nim korzenie modrzewia i lipy
pięknych drzew – kiedy były drzewami

Pięły się drzewa wytrwale
ku niebu – co roku – ku niebu

Rozłożysta lipa zbierała gromy na siebie
i pękł świat – kiedy pękło serce lipy

Korzenie w ziemi zostały

Na nich siada Maria i Łukasz
jak kiedyś na ciepłych kolanach

Daję się prowadzić moim wspomnieniom
merdającym ogonami we mgle obok zardzewiałej obręczy

Twoje odejście było gęste i pełna wilgoci ziemia
a ja ratowałem dom od pożaru jak mądra sowa wyrozumiała

Widzę Ciebie sięgającą po miskę z zakwasem i mąką
i dłonie pachnące chlebem o blasku Twych oczu

W piwnicy odnajduję dżem malinowy i sok z czarnej porzeczki
dobrze zakonserwowane ogórki kapustę kiszoną i gąski w słoiczkach

Jeszcze w powietrzu unosi się zapach słomy końskiego potu
krowiego łajna i świeżo wydojonego mleka szwedzką dojarką

Widzę Twoją sylwetkę pochyloną nad krzakiem truskawek latem
i stertą lętów spod których wзира stado łysych ziemniaków jesienią

Słyszę wyraźnie jak rozmawiasz z kurami każdego poranka
i głaszcząc krowę po pustych bokach mówisz: Mećka, Mećka, Mećka

Jakże niedorzeczne są teraz wieczory obok lipy której już nie ma

Kto powiedział mi o tym
co wydarzy się po twojej śmierci?

Wieczór – światło opuszczone do końca
małe iskry miotają się po podłodze

Powędrowałaś na drugą stronę białych brzoź
a ja wciąż jestem tu gościem

Słyszę szepty schowane w dojrzałym jabłku
światło i ciężar – równomiernie rozłożone

Moje ciało jak ogrodowy aster w koszyku płatków
błyszczę niby kałuża i księżyc z ciemności

Rok w rok przenikasz cichutko
w dźwięku moich siwiejących skroni

Sunę piórem niczym światło do swego wnętrza
a wiatr zmysłowo przestawia litery j n a i a n

Najdroższa Matko
nie umiałem Cię poznać – dokończyć – objąć

Kiedy zasną może powiesz:
Jerzy, wszystko zrobiłeś, co mogłeś.

Ojcie
przeglądałeś w wodzie
cienie zaplątane w wodorosty

Wydobywałeś z dna jęki
i zatopione okręty

W dzban gliniany składałeś

Dzwony ciężkie od wykrzykników

Gdynia – Białystok 1.06.2000.

Chciałbym
aby ciało było jedynie dla myśli
jedynie przybytkiem słów i pojęć

Jednak milczenie bez ciała
nie ma swojej mocy

podobnie jak słowa opuszczone przez ból

więc ramiona dźwigają pożar
z przeskokiem iskry między biegunami

powracam
na brzeg swego ciała
ostrego jak klif w Redłowie

dojrzewam do snu
wśród dzwonów tnących dzień
na trzy części

żwir iskry pod stopą
pod skórą żal i sól
ugrzęzły

układam z ciemności tęczę

ukrywam się w błysku źrenicy

czułość
musi ulec czasowi
który mnie wyrył
w kształt zżarty solą

westchnęłaś jak ocean i morze
kiedy dotyka miękkiego brzegu
liścia i kwiatu orchidei

rozdarty jestem
nie mogę przyjąć twego oddechu
i światła

mogę jedynie dotknąć
słowem

Wędruję poprzez tajemniczy las
zamieszkuję w drzewach wypędzając ptaki

Piaszczystą ścieżką
żwirowym traktem

W kościołach wymyte podłogi
i zapach róż herbacianych w bocznym ołtarzu

Sensy zasychają na ustach
po wylewie morza na zwichrzone urwisko

Przymrużam w oku całą niedorzeczność słów:
oczekuję siebie spacerując w odwrotnym kierunku

Oddychanie staje się coraz mniej bezmyślne
a w głowie wciąż tak wiele kobiet

Broda – siwa przyjaciółka jak antyczna zagadka:
ruszam w podróż zbyt czuły na głaskanie wiatrem

O poranku (czwarta trzydzieści) stoję całkiem ubrany
wrywam nocy obrazy jak lakmus wysysa barwy

Widowisko oklaskiwał
z coraz mniejszą mocą

Jego uwagę zatrzymała
kropla w kąciku oka

Pomyślał:
krew

Krew
to jednak nie była

W kąciku oka
z błota
srebrne jaskółki
budowały dom

przede wszystkim płynę
poprzez ceglaną przestrzeń
pustki od ziarna do ziarna

pełno w niej drogich kamieni
czułych westchnień i pieszczot
suchego wiatru w nozdrzach

nie pytam czy wielbłądy płaczą
patrzę jak zamieniają garby
w cud istnienia krok po kroku

od jutra
wykorzystam każdą chwilę
od jutra
będę czytał jedynie dobre książki
tylko mądrym otwierał będę drzwi swego domu
tylko tym którzy wiedzą co zrobić z zadanyim im czasem
tylko tym co nie ślinią się kłamstwem
politykę zostawię psom i ludożercom
jutro przestanę pić palić i gadać głupoty
białą kartkę wypełnię błyskotliwym słowem
kochać będę głęboko
codziennie rano pobiegnę szukać Boga
w mięśniach i przyspieszonym oddechu
później synowi powiem o nadziei
córce: jestem silny – nie trzeba się bać
już jutro rozpocznę nowe życie

tylko jak przetrwać tę noc

Jeżeli w oczodołach załęgły się myszy
to znaczy że oczy były popielate

Jeżeli wyrosły chabry
to on był chrobry o oczach modrych

Jeżeli oczodoły świeciły pustką
to znaczy że tamtędy przechodził
anioł gorejący

VIA LUCIS

I

JEST – SŁOWO jasnego skrzyżowania nieba i ziemi
Twoja Matka – Jej ciepły oddech
W nim prześwitujesz

II

JEST – strumień wyzwolonego światła
Jest myśl moja i życie moje
Ciało jest

III

JEST – przepasany wstęgą złocistą wokół bioder
Łan pszenicy jęczmienia żyta i prosa
Żyjący puls dnia

Pod namiotem Biblii schowałeś się Panie
Zamieszkałeś w mojej zagrodzie
Otoczony wysokimi brzożami

Podnoszę ramiona
Jak Gloria i Alleluja
W porannym chłodzie

Energii nie można zamknąć
Ona wybucha i nie mieści się w słowie
Nie mogę dłużej żyć bez SŁOWA

Otworzyłaś przestrzeń
czystą przestrzeń dla SŁOWA

Pośrodku swoich westchnień
Boga przyjąć gotowa

Wzruszona kończącym się mrokiem
w sobie drżysz cała

Idziesz jasności potokiem:
przy drodze wierzba omdlała

W dźwięku modlitwy codziennej
wzlatuje odwieczne i bez granic

AMEN

Zabrałaś mnie z ulicy,
wyniosłaś na górę, po schodach.

Wilgotnie tam było i ciemno
i ja mówiłem: "Zlituj się nade mną.

Wspomóż, przygarnij,
przecież przytulasz żywych i umarłych."

I stało się: jak po przebudzeniu,
świata nie poznałem, takem się odmienił.

Z cienistego cienia, nadziei oczami
zobaczyłem Ciebie – Miłosierna Pani

Przezroczysta – z ciszą łązy na skroni.

Światło odchylone w łuk podtrzymują
i wzlatują w głąb
wśród stóp stukających w płyty do nieba
Notre Dame
szum Sekwany szemrze
tłum szepcze:
Nasza Pani Nasza Pani Nasza Pani Nasza

Święte uczucie ognia i żaru
Słoneczna dziewczyna z Galilei
Powieki mruży w blasku swej wiary
Bożego Syna pieści w kąpielu

Iskrzy się światłem płomień ogniska
Wszystko w niej tańczy – radością tryska
Migają miejsca – błyskają chwile
Westchnienia lekkie – złote motyle

Żyda nie będzie ni poganina
Nie będzie grzechu – szczęśliwa wina
Ramiona swoje otwierasz Panie
Skarb wielki dajesz – swoje kochanie

Emmanuel – jak promień światła z nieba nam dany
Emmanuel – jak promień długo oczekiwany
Emmanuel – jak promień w którym zniknęła trwoga
Emmanuel – jak promień łaski samego Boga

Fanfar potężnych nie było
Nie rozlegały się grzmoty
W ciszy sennego miasteczka
Zjawił się Wysłaniec Złoty

Osiół obok owcy i wołu
Oczom nie wierzą pospołu
W Betlejem daleko od Boga
Światło jaśniało u proga

Ciszy mgła dokoła
Niewyraźne wszystko
Czy to ja się rodzę
Czy się rodzi Chrystus

Niebo rozpuszczone w Ziemi
Iskra ognia zasiana
Daje początek światłości
Matka od wieków wybrana

Idzie wśród ludzi poprzez czas
Myśl jasna jawi się z cienia
Idzie przez ciszę w blasku gwiazd
Łaski pełna i milczenia

Ciszy mgła opada
Wyraźniejsze wszystko:
To i ja się rodzę
I się rodzi Chrystus

Spotkamy się po wielu latach
aby śpiewać hymny wdzięczności

Będziemy modlić się w promieniach
spływających z kolorowych witraży pośród wiatru

Na mokrej posadzce stać będzie wielu ludzi wychylonych
ku wąskiej ścieżce pod górę gdzie widać gwiazdozbiory

Spokojny gest otwierania ramion podpowie jak uczyć się miłości
która jest na wyciągnięcie dłoni bo dalej tylko pajęczyna
albo dużo popękanego szkła

I napiszesz do mnie list po wiekach milczenia:
„Kocham Pana” – napiszesz – „Kocham Pana”

„Bardzo Pana kocham” – napisz – „Bardzo Pana kocham”
Boże

Kiedy przychodzisz do mego domu
Zrywam się na równe nogi
Rozsuwam ściany
Zgarniam okruchy ze stołu
Na białym obrusie stawiam karafkę
Pełną krystalicznie czystej wody
Sok z winogron i pszenne pieczywo rozacza swój ożywczy zapach

Jestem nieco spłoszony – nieco zawstydzony
Proszę – bierz i jedz z nami – przełam się w pół słowa
Pochyl się ze mną nad rymem i rytmem
I odsuń mgłę
abym wreszcie zobaczył

Jak liść
opadłeś z krzyża

w ciszę



<i>Zasypia na jego ramieniu...</i>	5
<i>Widzi zarys ust...</i>	7
<i>Jej delikatny rumieniec...</i>	9
<i>Odgarniała warkocze...</i>	11
<i>Nieśmiało otwierasz okno...</i>	13
<i>Co mam uczynić...</i>	17
<i>Na śnieżnobiałym kobiercu...</i>	21
<i>Mama...</i>	25
<i>Prawdziwie męski kaprys...</i>	29
<i>Za wzgórzem świerkowo-brzozowym...</i>	33
<i>Daję się prowadzić...</i>	37
<i>Kto powiedział mi...</i>	41
<i>Ojczy...</i>	45
<i>Chciałbym...</i>	49
<i>powracam...</i>	51
<i>czułość...</i>	55
<i>Wędruję...</i>	57
<i>Przymrużam w oku...</i>	61
<i>Widowisko oklaskiwał...</i>	63
<i>przede wszystkim plynę...</i>	67
<i>od jutra...</i>	69
<i>Jeżeli w oczodolach...</i>	71
<i>VIA LUCIS</i>	75
<i>Pod namiotem Biblii...</i>	77
<i>Otworzyłaś przestrzeń...</i>	79
<i>Zabrałaś mnie...</i>	83
<i>Światło...</i>	87
<i>Święte uczucie...</i>	89
<i>Fanfar potężnych nie było...</i>	91
<i>Spotkamy się...</i>	95
<i>Kiedy przychodzisz...</i>	97
<i>Jak liść...</i>	99

JERZY BINKOWSKI

– urodzony w 1949 r. (Gdynia), absolwent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (psychologia) oraz Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. A. Zelwerowicza (reżyseria teatru lalek).

Od 25 lat mieszka w Białymstoku, angażując się w życie społeczne i kulturalne. Pracuje w Zespole Szkół Muzycznych im. I. J. Paderewskiego oraz w I Liceum Ogólnokształcącym im. A. Mickiewicza. Jest założycielem i opiekunem artystycznym młodzieżowej grupy teatralnej „Boże Ziółka” a także koordynatorem programu „Starszy Brat - Starsza Siostra”. Prowadzi zajęcia edukacyjne, koncentrując się na problemach profilaktyki, wychowania, komunikacji interpersonalnej, treningu relaksacji i twórczości.

Wiele podróżuje – m.in. Ekwador, Libia, Stany Zjednoczone, Skandynawia.

Dorobek poetycki: „Akord”, „Krzyżowa Droga”, „Wygnanie Boga”, „Głosy z Pustyni” (nagroda literacka Prezydenta Białegostoku), „W drodze z Damaszku”, „To nieba odblask poraził człowieka”. Autor cyklu felietonów prasowych: „Chwila zadumy”, „Krajobrazy serca” oraz „Jak wychowywać”. Współtwórca biuletynu „Odrodzenie – pismo serdecznie myślących nauczycieli”.

Od 1994 roku należy do warszawskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Binkowski
Na drugą

Książnica Podlaska

im. Ł. Górnickiego w Białymstoku



KP-BG-0454632



138417